

L. Ciechanowiecka

W barakach i suterrenach Warszawy

Taniec szkieletów

Tak się złożyło, że reportaż o „barakowcach” pisałam w noc sylwestrową, w cieniu otwartego głosiaka.

W oczach mam jeszcze ponury obraz drewnianych „dacz” Anopola, rzuconych na wydmy piaszczyste, za miastem, za rzeką. Jeszcze mi dźwięczą w uszach skargi i słowa zgrzytliwe a tu z głosiaka płynnie istna powódź radośnych dźwięków.

Świat się bawi

Świat się bawi. Cały świat tańczy. Zbliży się północ. Za chwilę zacznie stary rok — narodzi się nowy.

Mieszkańców ziemi ogarnęło szaleństwo. Na falach eteru tańczą miasta, do wrotu tysiąca niewidzialnych orkiestr. Praga śpiewa pijackie tango Fu-dzi-jama. Budapeszt zawodzi cygańską serenadę. Gardiowe słówka strzelają, jak korki szampana. Teraz znów światem leci walc Strussa, porwijając Pragę i Amsterdam, Oslo i Hamburg w obłądny, a łagodny wir. Tańczy Berlin pod rękę z Wiedniem, przylączy się do nich Warszawa, poważny Londyn chichocze histerycznie w takt starego foxa „Trzy świnki”. — „Małe świnki — duży wilk...”. Nie. Nie bójcie się wilka. Duży wilk nie jest groźny. Upił się cocktailem z łez ludzkich i pod rygiu — raz dwa — trzy, raz — dwa — trzy... Stuttgart śpiewa głosem Josephine Baker, Bukareszt gwizda jak słowik, Firenze intonuje hymn na cześć Mickey Mouse. Potoczyły się szklane perły po szkle — to dalki akompaniament fortepianu, do śpiewanej w nieznanej dali piosenki... o dwóch kotkach.

Jeden o mleczku tylko śnił na dachu siedział w głodzie inny śmietankę słodką pił i myski jadł w młodzie... W głodzie? głód? ach to licentia poetica. Kto mówił o głodzie, kto mówił, że miliony ludzi skazanych jest na powolną agonję, że jest niedza, że jest złe...

Kto ośmielił się wypisać na ścianie potwornego dancingu, w jaki zamienił się w tę noc sylwestrową cały świat, ogniste słowa — Mane - Thekel - Phares? Nie zakłócać spokoju! Raz do koła. Cóż z tego, że tańczymy nad przepaścią.

— „A teraz usłyszycie państwo modny przebrój karnawału — karioke!”

Zawirowała kula ziemiska jak karuzela. Niebo drga od krzyżujących się fal tanecznych.

— Wszystkie pary tańczą! — krzyczą archanioł — wodzirej.

W baraku nr. 1000

— Proszę pani, ja wiem, że mnie śmierć sądzona. Ja wiem.

Ale niechbym umarła wiedząc, że mi córeczki z głodu nie zginą. Że się nimi ktoś zaopiekuje.

Błada kobieta w dziwnym stroju złożonym z kurty meżowskiej i łatanej spódnicy patrzy na mnie błagalnie. W przestronnej izbie baraku numer 1000 — jest zimno i czysto, wyjątkowo czysto. Nie jest to niechlujna nora, pełna rupieci i zaduchu. Jest schludna, no, bo nie ma w niej sprzętów, oprócz tapczana i jednego stołka. Nie ma odpadków — bo po czym. Na piecu kuchennym nic się nie gotuje. Stoi tam tylko jedna blaszanka z resztką szarawego płynu, w którym pływają kartofle. To posiłek przyniesiony z kuchni magistrackiej. Podłoga powleczone jest skorupą przyschniętego błota.

Kobieta osunęła się bezwolnie na niski tapczan i zapłotła złyście ręce, kurczowym ruchem. Musiała być kiedyś ładna — ma jasne jedwabiste włosy i wyblakłe duże oczy.

— Ot — brudno, bo nie ma siły wyszorować podłogi. Mydła nie ma. Zresztą niechciesz — dodaje kresowym akcentem. — Mnie przyjdzie się niedługo umrzeć. U mnie gruźlica obydwóch płuc. — Popatrzała na mnie i pewnie z przyzwyczajenia, żeby przekonać mnie, że nie kłamie, ruchem automatycznym wyciąga z pa-zuchy zmięty druczek. Świadczy o tym stacji opieki — „gruźlica obydwóch płuc, przepuklina, niezbyt kiszek”. No tak — pracować z takim zdrowiem niemożna, a nie dość jest chora, by mogła iść do szpitala.

Tam bardziej chorych przyjmują. Tam pójdę już przed skonaniem. A teraz człowiek pomalutku czeka śmierci. Jeść nie może, nawet kartofli strawić trudno. Mnie i nie ochota żyć. Ale jedno mnie nęka. Co z dziećmi będzie. One zdolne takie, grzeczne takie, mileńskie takie. Już mają suchoty.

Trzecią córeczkę pochowała niedawno. Sprzedało się ostatnie ciepłe palto. Wyjść na mroź nie można. Mąż? Mąż otrut się esencją przed tygodniem. Posadzką był. Pracy znaleźć nie mógł. Chciał handlować zabawkami z drewna. Na licencję nie miał. Przepędzali policjanci. Krasieć nie poszedłby za nic. Nie wolno uczyć zarobić — to i najlepiej otrut się. Miał rację. Tylko ona strasznie boi się śmierci.

Wychodzę z czystej, wlejącej chłodem izby na dwór.

10.000 straceńców

Ach te domki podobne do rosyjskich dacz, podmiejskich, u-

stawiane bez ładu i składu, aby jaknajdalej od centrum miasta. Pięćdziesiąt dziewięć domów, blisko dwa tysiące izb i przeszło dziesięć tysięcy mieszkańców. Przechodnia brodzająca w sypkim, cementarnym piachu witają powiewające na sznurach sztandary — łachy, szmaty, koszule i strzępy koronkowych kombinerek. Jak w Szanghaju.

Zapada wieczór. Na tle ołowianego nieba drgają różowawym blaskiem trójkątne latarnie. Snują się dymy. Trzaskają drzewczki. Ktoś wylewa kubel mydlin na ziemię. Bucha para. Sino biała, niby zwarzone mleko woda tworzy kałużę. Na każdym domku numer. Gdzieś tam w środku polany drewniany szalet — wspólna ubikacja, zięjąca zaduchem. Kobieta w łatanym swetrze i wykrzywionych pantoflach, które niegdyś były lakierkami, ugina się pod ciężarem wora, napełnionego czymś twardym — może ziołami, może drzewem, na podpałkę. Mijam gromadę hałaśliwych młodych ludzi. Na głowach berety, na grzbiecie zbyt lekkie ubrania, szaliki jaskrawe. Jeden dźwiga pudło ze skrzypcami, inni mandoliny. Z trudem wlecząc się za nimi garbus dychawiczny z gitarą. Wyruszają do miasta ze śpiewem na ustach. Będą wtrawiać od podwórka do podwórka i rzucać strzępy piosenek miłosnych, wzamian za parę groszy zrzuconych z okna kuchni.

Wleś n'ewesoła

Domki drewniane, nito dworki, nito czworaki, ale za szybami majaczej postaci niezwykle, nie wspólnego z wsią wesołą nie mające. Oto do szyby przywarła mizerna twarzyczka dziecka. Ma na głowie bandaż sięgający oczów.

— Co jej jest? — pytam matkę, zajęętą na przybicie czyszczeniem blaszanki, służącej jako garnek.

— Liszaj koński — odpowiada burkliwie — włosy jej zżarło. Będzie lysa. Chodzi do Łazarza. Dochłór powiada — zapóźno.

Mówiąc to rozwarła bezębne, zakrwawione usta. Dostrzegła widocznie coś na mojej twarzy, bo zaczyna się śmiać.

— A to mój mi wykopał przednie zęby.

Śmieje się do łez i uciera nos palcem.

— Tera spokój. Drugi raz mi

zębów nie wytłamie. A paniusia może z barakowej sekcji? co? o paniusiu, żeby też to skądś pracy. Robotna jestem, nie boję się mordęgi. Każdą posługę przyjmę. Cóż kiedy człek się przyzna, że w barakach mieszka — to jak na złodziejkę patrz. A to przecie tylko te przekłete łachy wszystkim winne. Niech ja się przy czeszę i ogarnę — hoho — uczciwiej wyglądam niż niejedna, co na Pawiaku siadywała, a teraz w fokach paraduje.

Oparła się o framugę drzwi, czekając, skrzypliwych zaciska ziębnęła czerwoną ręką wełniany szalik, przy chudej szyi i dalej swoje. Żeby koniecznie zajrzeć do baraku numer X, bo tam wrócił ze szpitala taki biedak, co ma popsute płuca, ale mu teraz niby trochę lepiej, więc w szpitalu niechęć go trzymać, a do pracy już iść nie może. Monter — a jakże. Kwalifikowany. Z fabryki wyrzucano, tułał się, tułał zaziębł się na śmierć, a żona uciekła z innym i dziecka zostawiła. Głodem przymierają. Tyle, że raz dziennie dostają jedzenia w kuchni magistrackiej.

Krzyżowa droga

A obok mieszka bardzo cichy, porządny człowiek z żoną i czworogim drobiazgu.

W izbie podzielonej na kilka klitek odgradzonych sprzętami mizernymi jest w tej chwili tylko jeden mężczyzna. Siedzi na kuferku. Ma na sobie wytarte, ale porządne ubranie, nogi okryte szmatami. W kacie kotłuje się od dzieciarni. Bawią się. Wyrzucają sobie wzajemnie kukłę z galganków. Nie myślcie, że to dramat. Ta kukła jest ich skarbem. Zazdroszczą małej siostreczce, że ją dostała. Wcaleby jej nie oddali za żadną strojnę w atłasy lalę. Tamta jest lala, a ta jest ktoś bliski, ktoś żywy, taki sam jak oni.

Chciałabym nareszcie dowiedzieć się jak to się dzieje z człowiekiem, który kiedyś miał jak każdy z nas własny kąt i pracę, dostawał pieniądze, na pierwsze go, układał plany na przyszłość, a teraz siedzi bezradny na kuferku niby gotowy do drogi, do nikąd, i patrzy tępo w ziemię.

Ano cóż. Kiedyś wiodło mu się — jak panu. Był giserem w wielkiej fabryce. O! świadectwa ma — a jakże — znowu te wej-

zenie żalosne, błagalne (wierząc mi, ja nie kłamię — prawdę mówię, chociaż wyglądam jak włóczęga). Tak, świadectwa są poprostu doskonałe. Cóż kiedy ostatnia kartka mówi o zwolnieniu, wskutek nadwyręzonego zdrowia. Trudno — giserski fach to nie zabawa. Więc najprzód tak było, że zarabiał się i 25 zł. dziennie, mieszkało się w własnym domku drewnianym, na Grochowie, potem redukcja, a domek się spalił. I na to jest dowód — piorun zabił przytem dwie osoby. Potem Kasa Chorych jakiś tam znikomy procent, od placówek przez lata składek, zwróciła, nadszedł dzień ostatniej wypłaty. Trzeba było wyrobić sobie kartę bezrobocia. Wystawanie przed urzędami pośrednictwa. I zawsze odpowiedź — niema nie może jutro... W barakach spoczątku płacił kilkanaście, potem kilka złotych miesięcznie magistratowi, a teraz oddawna już nie, i pewnie niedługo trzeba będzie iść do gorszego przytułku, na Okopową. Teraz to już tylko ta jednorazowa zupa utrzymuje człowieka przy życiu. To dosyć, żeby nie zdechnąć z głodu, ale nie dość, żeby żyć. Butów niema — ale współlokator pożyczą czasem własne podarte buciki, to się idzie szukać pracy. Podań złożył pewnie ze sto w rozmaitych fabrykach. Wszystkie sprzęty poszły jedno po drugim. Teraz żona z dziećmi śpi, na żelaznym łóżku, którego szkielet przykrywa się łachmanami. Sprzedano nawet siennik. A mąż śpi, na kuferku. Co będzie jutro?

— Co Bóg da!

— Jakto, więc nie stracił jeszcze wiary?

— Nie — odpowiada z mocą — ona mnie podtrzymuje.

W zapadłych oczach zabłysło dziwne światło.

— Bo gdybym nie wierzył w Boga, gdyby nie miał tej świętej wiary w Pana Jezusa, że wie co robi, że mnie widzi i że nie opuści nas, tobym poszedł kraść, zabijać albo strzyć na szyję i koniec bym zrobił ze sobą i dziećmi. Ale Pan Bóg przecież nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Nierychliwy... Więc się czeka.

Milczy chwilę, a potem podnosi głowę i patrzy na mnie pytającym wzrokiem.

— Zresztą, kto wie, może to ka-

W WIRZE STOLICY

Wynuchił pożar przy ul. Bagno 2-5, w domu suk. Ułrycha. Na klatce schodowej III piętra zapaliła się belka pomostu schodów, wskutek wypuszczenia jej do przewodu dymowego. Pogotowie IV oddziału strażnicy, wyrabiając część belki.

Wczoraj w południe, w drodze na ul. Leszno zasłabła nagle pasażerka 43-letnia Gila Goldsztajnowa, przy mężu (Żuromin pow. Płocki). Doręczarz pojechał z pasażerką do ambulatorium Pogotowia, gdzie lekarz stwierdził śmierć. Zwiłki przewieziono dorożką do prosektorjum.

Zamachy samobójcze. 28-letni Leon Kostrych, bez pracy i bezdomny, napił się esencji octowej w bramie domu Miła 28.

18-letnia Anna Sujcka (Jasna 22), pracownica domowa, również na piła się esencji octowej. Pogotowie, po udzieleniu pomocy, przewiozło Sujcką do szpitala Dz. Jezus.

Spadł z kozła dorożki, na rogu ul. Wierzbowej i Króla Alberta 1, 85-letni Feliks Hess, dorożkarz, (Węgierska 11). Lekarz pogotowia, stwierdził ogólne potłuczenie i wewnętrzne obrażenia. Nieprzytomnego i w stanie ciężkim H. przewieziono do szpitala św. Rocha, gdzie wkrótce zmarł. Był to ostatni wyjazd Pogotowia Ratunkowego w roku 1934.

Przy ul. Gęsiej 57-a, Perce Finkiel szajon, lat 32, handlarz, wskutek własnej nieostrożności spowodował wybuch kilkunastu baloników, wskutek czego doznał poparzenia I stopnia obu dłoni. F. udzielono pomocy w ambulatorjum Pogotowia.

Starcie samochozów z dorożką. Przy zbiegu ul. Złotej i Żelaznej, w noc Sylwestrową. Dorożka powoził Jan Ostrowski (Wolność 19). Wskutek starcia, koń został potłuczony i doznał złamania nogi. Kierowca zwiłki szył szybkość i zbiegi. Przechodzący wówczas inspektor Tow. Opieki nad Zwierzętami Woltuch wezwał pogotowie dla koni Z. O. M. Pracownicy posilkując się aparatem humanitarnym, konia zabili. Dorożkarz wyszedł bez szwanku.

Na ślizgawce przy ul. Leszno, 20-letnia Bronisława Tajtelbaumówna urzędniczka (Karmelicka 27), poślizgnęła się i złamała prawy obojczyk.

Na ślizgawce przy ul. Tamka 9-letnia Teresa Noiszewska uczennica (Solec 93), upadła i złamała lewą nogę. Ofiarom sportu zimowego pomocy udzieliło Pogotowie, poczem Noiszewska przewieziono do szpitala przy ul. Kopernika.

Na rogu ul. Złotej i Twardej, została wypchnięta z tramwaju, przez nieznanego pasażera 19-letnia Róża Bokówna, pracownica domowa (Chmielna 73). Nieszcześliwą przewieziono na stację Pogotowia, gdzie lekarz stwierdził potłuczenie głowy i prawej łopatki.

Adwokaci i lekarze zaprowadzają książki handlowe

Z Nowym Rokiem, wobec zastosowania nowych przepisów podatkowych, przedstawiciele wolnych zawodów, jak adwokaci, lekarze, architekci i t. p., uzyskali możność uwolnienia się od dowolności władz podatkowych w ustalaniu ich obrotów i dochodów przez prowadzenie przewidzianych według nowych przepisów ksiąg handlowych.

Większość przedst. icielei wolnych zawodów skłoniła z tej możliwości i zaprowta u siebie

książki handlowe. Powstały już nawię specjalne wydawnictwa, dostarczające uproszczonych ksiąg dla adwokatów i lekarzy.

Przy prowadzeniu jednak ksiąg handlowych przez wolne zawody poważne wątpliwości budzi kwestja zachowania tajemnicy zawodowej. Toteż do prowadzenia tej buchalterji nie będą mogły być dopuszczane osoby postronne, by zapobiec niebezpieczeństwu ujawniania nazwisk klientów, pacjentów i t. p.

Ubezpieczalnie mogą umarzać drobne kary Czy będą korzystały z tego prawa?

Jako jedno ze swych ostatnich zarządzeń (gdyż od 1 stycznia ulega likwidacji, stapiając się z Zakładem Ubezpieczeń) Izba Ubezpieczeń Społecznych wydała wyjaśnienie do ubezpieczalań w sprawie umarzania małych kwot pobieranych z tytułu odsutek karanych za zwłokę w uiszczaniu składek ubezpieczeniowych.

Ubezpieczalniom wolno nie pobierać odsutek karanych za zwłokę przy zaległościach mniejszych niż

10 zł., jak również gdy kara wynosi mniej niż 10 zł.

Zarządzenie to jest bardzo słuszne — chodzi tylko o to, czy ubezpieczalnie (od których decyzji uzależniła Izba umarzanie kar lub też ich ściąganie) zechcą korzystać z nadanego sobie prawa. Najczęściej zaś i najprzychylniejszą własnie kary drobne, wymierzane dotąd bezwzględnie przy każdym opóźnieniu wpłaty

Str. 108

J. Kuszel i E. Bałucki „Przebrana”.

zawadziły o uszy i automatycznie ramiona opłoty się o jego szyję. Na ustach poczuła gorące, męskie usta.

— Lola!

— Esti!

Spojrzała mu głęboko w oczy, wyrwała się i uciekła z pokoju.

Stał, jak urzeczony.

— Co znaczy ten szal?

Podszedł bliżej. Na szalu leżał arkusik papieru listowego z wypisaniami kilkoma zdaniem. Podpisu nie było.

Chwycił papier. Literę zaczęły mu skakać przed oczyma. Nie mógł odczytać treści.

Było to jego własnoręczne pismo...

Wróciwszy do domu wieczorem, po całej niedzieli, snędzonej z Barczyńskim. Lola zaczęła analizować sytuację. Kocha go. I on ją. To pewne. Dała się pocałować. a właściwie... sama pierwsza go pocałowała. Zacerwieśniała się sama przed sobą. Nie było to przecie w jej stylu.

Kocha go. Kropka.

Dlaczego on się tak wypiera tego, kim jest? Must mieć jakieś ważne powody. Nie pozwoliła mu jednak o tem mówić ani słowa, choć próbował kilkakrotnie w ciągu dnia zaprzeczać.

Czy powiedziała matce? Może jeszcze za wcześnie.

Ale czuła potrzebę podzielenia się z kimś swoim szczęściem. Zaraz na drugi dzień rano pobiegła do Nabilowej.

— Jance mogą się zwierzyć.

Zastała tam już panią Alę, która wróciła ze wsi.

— Jak się masz, kochanie — przywitała Lolę — mówimy właśnie z Janką o tym Barczyńskim. Uważaj na siebie, Lolka.

Spojrzała wyniośle.

— Nie rozumie, o co chodzi — rzekła.

J. Kuszel i E. Bałucki „Przebrana”.

Str. 109

kilka jeszcze osób. Choć już było po sezonie i przyjęcia sobotnie oficjalnie się nie odbywały, bliżsi przyjaciele zeszli się z przyzwyczajenia.

Było gwarno i wesoło. Radca Nabil wrócił do domu późno i, zobaczawszy liczne grono, powitał wszystkich gromkim okrzykiem.

— Wobec tego wypijacie z nami herbatę!

„Herbata” warszawska jest swoistym wynalazkiem stolicy Polski. Nieuświadomiony przybysz i innych dzielnic Rzeczypospolitej, usłyszawszy zaproszenie: „Wypijcie pan z nami herbatę”, klnie nieco w duchu, że nie pozwalają mu zjeść porządnej kolacji i oczekuje herbaty (której czasem nienawidzi), trocąc kęsków czai i w najlepszym razie mikroskopijnych tartinek (ból żądka gwarantowany).

Tymczasem ze zdziwieniem konstatuje, że taką batą składa się z nieprawdopodobnej ilości zakąsek, górków, pomidorów, grzybków, szynki, poledwie, pasztetów, boczków i t. p., utopionych w całym oceanie czystej, słodkiej, gorzkiej i specjalnej. A gdy myśli, że to koniec, wnoszą indyka, pulardę, czy też poledwie, pieczeń z odpowiednią ilością piwa jasnego czy ciemnego. Przechodzi moment, gdy goście z przejęciem szanują się nie mogą i wtedy stawiają terty, ciastka, herbatniki, a rozochocony gospodarz wyciąga jedną po drugiej butelczyny wina.

Oczywiście można dostać i herbaty.

Można sobie wyobrazić, jak tak herbatą był zdziwiony Barczyński, wychowany zagranicą.

— Na Boga — myślał w duchu — ileby to pieniędzy można odłożyć, gdyby takie herbaty były o 10 proc. mniej obfite. A wszyscy przecie narzekają na kryzyś na kłopoty...

Refleksje takie nie trwały zbyt długo. Cały czas pochłaniał wzrokiem Lolę. Siedział koło niej, brał napór udział w ogólnej rozmowie, lecz ona jedna istniała dla niego. Było mu dobrze.

Skończyła rozmowa zeszła na stroje kobiece i na modne obecnie w Paryżu egzotyczne szale. Może umyślnie na